Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 40.

dnia 4. Września 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Pan Wyżyński powstał. Wszystko co dotąd usłyszał, było dlań prawie niezrozumiałe. Powiedziawszy sobie, że jedna tylko Austrja Polskę zbawi, nie pojmował, jakim sposobem to samo zbawienie mogło by wyjść z kąd innąd. Człowieka przeszło siedmdziesięcioletniego byle rozmowa nie przekona, to też i on przeciwnikowi swemu zwycięztwa nie przyznając, rzekł:

— Zasady pańskie są tak zimne i wstrętne dla ducha polskiego, że żadną miarą nie mogę im życzyć zwycięztwa. Polska może mieć na celu nie tylko swój interes; ona powinna nieść przedewszystkiem wolność i miłość światu, a pan chciałbyś, żeby się zasklepiła w samolubstwie i dla jakiejś tam przyszłości, która jeszcze nie jest pewną, nawet niewolę znosiła. Takie zasady są według mego przekonania dla nas szkodliwe, jeźli więc nie zechcesz ich pan odwołać, z bolem serca będę musiał sam przeciw tobie wystąpić.

— Trudna rada!... Czyń pan, co ci obowiązek nakazuje.

— Ależ mnie ciebie żal, panie Gozdawo! Jesteś tak młody, jeszcze długo możesz dla kraju z pożytkiem pracować.

— Nie żałuj pan człowieka, który sam siebie nie żałuje... Ja czynię, co mi moje przekonanie czynić każe, ono bowiem jest odemnie silniejsze. Postępując zaś w ten sposób, jestem zawsze zadowolony, więc i żałować siebie nigdy nie potrzebuję.

— Zastanów się pan jednak, że następstwa mogą być dla ciebie bardzo bolesne

— Bez męczenników żadna jeszcze idea nie zwyciężyła

Pan Wyżyński wzruszył ramionami.

— Ha! trudna rada!... Chciałem cię ratować panie Gozdawo, ale kiedy moją rękę odtrącasz, dziej się wola boża! Będąc głęboko przekonanym, że polityka, którą głosisz, byłaby dla nas nieszczęściem, gdyż na wieki oderwała by nas od cywilizacji Zachodu, a przekonawszy się z rozmowy z tobą, że od zasad swoich nie tylko byś nie odstąpił, lecz co nierównie gorsze, starałbyś się dla nich coraz więcej zwolenników zyskiwać, więc mimo własnej woli muszę cię zrobić nieszkodliwym...

— A ja ci tego panie wcale za złe nie biorę — Ryszard odpowiedział. — Postępuj dalej według swoich zasad.

Starzec podniósł się i na młodego człowieka patrząc, zaczął głową potrząsać.

— Czy to ostatnie twoje słowo? — zapytał.

— Ostatnie!

— Stało się!... A teraz daj mi pan przynajmniej rękę na dowód, że różnica przekonań politycznych, ludzi nie poróżniła, że rozstajemy się z obopólnym dla siebie szacunkiem.

Młody człowiek podał mu rękę, którą on serdecznie uścisnął. Za chwilę był na ulicy.

Przed samą redakcją spotkał go woźny z urzędu telegraficznego, niosąc depeszę. Było w niej wezwanie od jednego z najbardziej wpływowych członków delegacji galicyjskiej, by chwili nie tracąc przyjeżdżał, sprawy bowiem polityczne pierwszorzędnego znaczenia, wymagają jego obecności we Wiedniu.

Ponieważ wiedział o co rzecz idzie, i takiego

wezwania oddawna wyglądał, przeto spiesząc się na kolej, na chwilkę tylko wpadł do redakcji i rzekł do Żylewicza:

— Odjeżdżam do Wiednia pociągiem południowym... pilnuj pan tu gazety.

— A Gozdawa? — Żylewicz zapytał.

— Trudna rada... trzeba prawdę napisać.

Postąpił ku drzwiom, biorąc jednak za klamkę, jeszcze się obrócił.

— Tylko broń Boże! — rzekł — nie przedstawiaj go pan jako ajenta moskiewskiego, bo ten człowiek nie bierze rubli... Jeżeli się zbłąkał, zbłąkał się z przekonania! Proszę pana także byś pod sprawozdaniem umieścił swoje nazwisko.

— Dobrze, dobrze.

Pan Wyżyński wyszedł i wkrótce odjechał, jego zaś zastępca usiadł i pisać zaczął.

Wieczorem tegoż dnia wyszła *Teraźniejszość*, w której szczegółowo i jaskrawo wczorajszy wypadek był opowiedziany, a na końcu znajdowały się te słowa:

„Kto jest jednak ten pan Ryszard Gozdawa, którego tak sprawiedliwie głos powszechny nazwał wczoraj odstępcą i zdrajcą? Nie twierdzimy, żeby był ajentem moskiewskim, gdyż na to dowodów nie mamy, wszakże o ile z różnych wiadomości, któreśmy otrzymali od osób na wiarę zasługujących, wnioskować możemy, człowiek ten był zawsze bardzo podejrzanej moralności, i na wsi, gdzie poprzednio mieszkał, z jego winy umarła jakaś kobieta zamożna, którą on leczył, mimo iż do tego nie miał wówczas prawa... Mamy nadzieję, że sądy wglądną teraz w tę sprawę i winnych przykładnie ukarzą... Co do pana Ryszarda Gozdawy, tego głos powszechny stanowczo już potępił... Wyrzucenie go ze społeczeństwa nie ulega więc najmniejszej wątpliwości“.

ROZDZIAŁ XI.

NASTĘPSTWA.

Człowiek najbardziej nawet rozumny, usiłujący wszystko przewidzieć i przygotować się na najgorsze, gdy rzeczywistość nadejdzie, widzi ze zdumieniem, że właśnie to go spotkało, czego nie przewidywał. Czasem rzeczywistość lepszą jest od przypuszczeń, częściej gorszą. O tej drugiej prawdzie przekonał się niestety Ryszard Gozdawa.

Po tem, co go na zgromadzeniu wyborczem spotkało, był zbolały, ale dopiero po przeczytaniu *Teraźniejszości* był przerażony. W pierwszej chwili nie zrozumiał myśli szatańskiej, która się mieściła w artykule Żylewicza; dopiero gdy go odczytał raz drugi i dziesiąty, pojedyncze litery przemieniły się w olbrzymów, a z artykuliku liczącego kilka wierszy, zrobiło się oszczerstwo wielkie jak ocean, który wszystko pochłania...

W oczach mu pociemniało, serce bić przestało, musiał usiąść, gdyż nogi pod nim się zachwiały. Dość długo trwało, zanim przytomność odzyskał, a z nią możność myślenia o tem, co go spotkało. Jako dziennikarz łatwo zrozumiał, że artykuł Żylewicza, pod którym tenże stosownie do życzenia swego pryncypała, podpisał się pełnem nazwiskiem, czem za niego odpowiedzialność przyjmował, wszystko w sobie mieścił: przypuszczenie, że on, Ryszard Gozdawa, jest może płatnym ajentem rządu rossyjskiego, zarzut, ze jest człowiekiem niemoralnym i podejrzenie, że jakąś kobietę otruł, aby po niej zabrać pieniądze! Kto inny czytając to, może by się roześmiał, i laskę wziąwszy był by poszedł tak się rozprawić z Żylewiczem, jak ten sobie na to zasłużył; jednakże biedny nasz przyjaciel nie mógł tak postąpić. Co by było uszło pierwszemu lepszemu, to nie mogło ujść jemu, na którego bądź co bądź oczy całego kraju były zwrócone. — Nie umiał oczyścić się inaczej, więc odwołał się do pięści! — zawołano by jednogłośnie, i to by go zabiło. On potrzebował tedy rehabilitacji publicznej, ponieważ obraza była głośna. Znając swego przeciwnika, prędko także się domyślił, czemu zaatakował jego życie prywatne. Z zarzutów politycznych, mając w ręku organ poważny, którego zasady podzielał znaczny zastęp światłych obywateli, mógł się łatwo usprawiedliwić; stokroć jednak trudniej udowodnić, że w życiu prywatnem jesteśmy zawsze czyści i szlachetni. Żylewicz wiedząc to, rzucił w świat oszczerstwo, aby rosło i z czasem zrobiło się tak potężne, by go już żadna siła zwalczyć nie mogła.

Ryszardowi nie pozostało więc nic innego do uczynienia, jak oszczercy wytoczyć natychmiast proces o obrazę honoru, i żądać od sądu ostatecznej rozprawy przed ławą Przysięgłych.

Nim wyszedł do redakcji, wziął arkusz papieru i ręką drżącą skargę napisał, którą wręczył Marcinowi mówiąc, by niezwłocznie zaniósł ją do sądu.

Sam usiadł jeszcze na dawnem miejscu i czekał na powrót służącego.

Nagle wszedł Stanisław zachmurzony i zmięszany. Ryszard był pewny, że przyjaciel przyszedł go pocieszyć, więc na powitanie uśmiechnął się do niego żałośnie i rękę wyciągnął, wszelako Stanisław niedaleko drzwi się zatrzymał i rzekł:

— Przyszedłem panu za wszystko podziękować i pożegnać...

— Co to jest Stanisławie? Z kąd ta etykieta między dawnymi przyjaciołmi?

— Byliśmy nimi niegdyś, dziś nie jesteśmy...

— Jakto? Czyżbyś i ty mnie potępiał Stanisławie?

Tyle było serdecznego bolu w tem zapytaniu, że Stanisław, który idąc tu, powiedział sobie, że jak głaz będzie zimny i nieubłagany, uczuł, że go coś zanudziło koło serca i do oczu łzy mu się cisną.

— Ja ciebie nie potępiam — szepnął — ale niestety nie mogę cię także usprawiedliwić. Wiem, że historja z jakąś tam kobietą, jest ohydnem oszczerstwem, lecz na to nie przysięgnę, żebyś był dobrym Polakiem, a to najważniejsze! Nie raz mnie samego to uderzało, czemu twoja gazeta nie pisze jak inne, wtedy jednak nie umiałem sobie tego wytłumaczyć... dopiero teraz mam wszystko na dłoni.

— I cóż masz, cóż? — Ryszard żywo zawołał. — Chyba to, że inaczej niż inni zapatruję się na nasze położenie. A czyż to taki grzech wielki, Stanisławie!

— Ja go nie nazywam wielkim grzechem, tylko śmiertelnym! Każdy z nas powinien być przedewszystkiem dobrym Polakiem, a kto nim nie jest, kto nie chce pracować nad odbudowaniem Polski, na co przy pomocy Austrji teraz się zanosi, z tym ja nie mogę zostawać pod jednym dachem. Choćbyś mi dawał miljony, droższe mi moje dobre imię!

Tu Stanisław przerwał; Ryszard wpatrywał się w swego przyjaciela.

— Więc mnie porzucasz?! I wolnoż wiedzieć, dokąd się udasz?

— Wracam do Francji... Jak dawniej będę znowu ciężko na chleb pracował, ale przynajmniej umrę z czystem sumieniem.

— Stanisławie! zastanów się... W tej chwili nie mogę, bo jestem zanadto znużony, a i czasu mi brakuje, popołudniu jednak wszystko ci wytłumaczę... Przekonasz się, że nie jest tak źle jak myślisz.

Stanisław odparł gorzko się uśmiechając:

— Znając twoją wymowę, wiem, że mógłbyś mnie przekonać, a że tego najbardziej się lękam, przeto ani chwili dłużej tu nie zostanę. Jeszcze raz ci powtarzam, jestem i chcę zostać dobrym Polakiem.

— Ha! kiedy tak, więc bądź zdrów!... Na drogę będziesz zapewne pieniędzy potrzebował?

— Dziękuję ci, mam tyle ile potrebuję, a gdyby mi przypadkiem brakło, wolę iść dalej o kiju żebraczym, niż...

Nie dokończył, tylko do Ryszarda wzrok podnosząc dodał:

— Bądź zdrów!

Ryszard do niego przyskoczył i za rękę go ujął:

— Bądź zdrów Stanisławie! Na tym świecie ponoś się już więcej nie zobaczymy... ale gdy się dowiesz, żem umarł, i jeżeli wtedy sumienie powie ci, żeś się mylił, zmów chociaż pacierz za spokój mojej duszy!

Stanisław w oczy mu spojrzał i pobladł; chwilę nawet się zdawało, jak by się wahał, prędko jednak odzyskał moc nad sobą, i uścisnąwszy dłoń dawnemu przyjacielowi, wybiegł do sieni.

Ryszard chwycił się za głowę; z oczu łzy jak groch padać mu zaczęły.

— O! Boże! — z głębi duszy zawołał — za jakież grzechy tak ciężko mnie karzesz?!

Długa godzina minęła, nim wzmocniony na duchu, odważył się udać do redakcji. Gdy tu wszedł, uderzył go widok niezwykły. Jego współpracownicy, po większej części młodzi literaci, którzy o tej godzinie zawsze pilnie pisali, stojąc teraz na środku pierwszego pokoju, czekali na jego przyjście. Po tem, co go ze Stanisławem spotkało, prędko się domyślił, co to znaczy.

— Przepraszamy pana — najstarszy przemówił — ale po tem co zaszło, żaden z nas nie może dłużej zostać w redakcji *Przyszłości.* Wprawdzie wszyscy biedni jesteśmy, lecz dla chleba nie wyrzeczemy się dobrego imienia.

— Może byście się panowie zatrzymali, dopóki się wszystko nie wyjaśni?

— Kto wie, jak to długo potrwa, może kilka miesięcy, a tymczasem będą nas palcami pokazywali. Zresztą nam nie idzie o ową kobietę, każdy bowiem

jest z nas przekonany, że to potwarz, tylko o zasady polityczne, do których przyznałeś się pan sam przedwczoraj, więc tego wyjaśniać nie potrzeba...

— Jeźli tak, czemużeście panowie zaraz wczoraj nie odeszli?

— Bośmy sami jeszcze niewiedzieli, jak się właściwie ma ta sprawa... Dopiero *Teraźniejszość* to wyjaśniła.

— Kiedy tak, więc żegnam panów! — odpowiedział Ryszard z godnością, i krokiem spokojnym do biurka postąpił.

— Opuścili mnie, mniejsza o nich! Dopóki sobie innych nie znajdę, potrafię sam jeden całą gazetę zapełniać.

Z redakcji wchodziło się do dużej sali, w której zecerzy *Przyszłość* składali; maszyny drukarskie znajdowały się na dole. Chociaż zecerzy zwykle spokojnie się zachowywali, nie sposób było żądać aby do redakcji nie doleciał od nich jaki głos, lub stuk upadającego narzędzia. Teraz jednak panowała tam cisza, jakby kto makiem posiał. Uderzyło to Ryszarda; zamiast siąść do pisania, poszedł wpierw zobaczyć, co się w drukarni działo.

Tu było pusto; wszystko tak leżało, jak zecerzy wychodząc dnia poprzedniego zostawili, nawet kolumny ostatniego numeru *Przyszłości* widać było nierozebrane. Pod oknem stał jeden tylko pan Łukasz, zecer najstarszy i kierownik drukarni.

— Panie Łukaszu, co się tu stało? — Ryszard zapytał.

— Zecerzy powiedzieli, że nie przyjdą i składać nie będą...

— Zapewne ich ktoś namówił! Powiedz pan prawdę!

— Tak jest... Żylewicz zaprosił ich wczoraj „Pod dziką wronę“, gdzie był także ten Stern, co to do Rady państwa kandyduje... Do rana tam pili, a Żylewicz ciągle im powtarzał, że jako dobrzy patrjoci nie powinni składać takiej gazety... Uwierzyli i nie przyszli.

Ryszard powiódł w koło okiem prawie obłąkanem.

— Boże! z wszystkich nieszczęść to może największe... Kiedy powinien bym głos zabrać, aby chociaż w części oświecić opinję, która przeciw mnie się obraca, wtedy ci ludzie skazują mnie na okropne milczenie!... Panie Łukaszu, idź pan, szukaj innych zecerów, zapłacę ile zechcą, ale *Przyszłość* musi dziś wyjść!

— Jużem o tem myślał, szukałem, prosiłem, nikt jednak nie ma odwagi przyjść, gdyż każdy się boi, aby Żylewicz i jego nie napiętnował. To człowiek straszny, on już nie jednego w ten sposób zabił!

— Cóż więc począć... radź pan!

— Zdaje mi się, że wydawnictwo gazety trzeba na jakiś czas wstrzymać, dziś zaś ja sam złożę kilkadziesiąt wierszy, w których pan redaktor napisze co najpotrzebniejsze i przy pomocy stróża kamienicznego, który będzie maszynę obracał, wydamy ogłoszenie nadzwyczajne i rozeszlemy wszystkim prenumeratorom... Innej rady nie mam.

Ryszard chodził jakiś czas po pustych pokojach, myśląc co począć; w końcu musiał zgodzić się na propozycję Łukasza.

Wieczorem tegoż dnia wydał ogłoszenie, w którem treściwie opowiedziawszy co go spotkało, prosił czytelników o wyrozumiałość. Kończyło się ono temi słowy:

„Niesprawiedliwie oczerniony przez p. Walerego Żylewicza w *Teraźniejszości*, oddałem tę sprawę sądowi, i mam nadzieję, że wkrótce świat cały przekonam, iż tylko osobista niechęć kierowała ręką piszącego. Nim jednak wyrok Sądu Przysięgłych zapadnie, zaklinam wszystkich ludzi zacnych, by do tego czasu wstrzymywali się z jakiemikolwiek sądami tak o mojej osobie, jako też o mojej działalności politycznej“.

Ryszard był pewny, że takie uczciwe przemówienie wywrze wpływ zbawienny; tymczasem jego słowa miały przebrzmieć w ciągu 24 godzin, gdy przeciwnie Żylewicz zostawał ze swoją gazetą, w której co dzień mógł przeciw niemu opinję podburzać.

Mimo tylu nieszczęść, Ryszard nie zapomniał o wyborach i ledwie trochę się uspokoił, zaczął o nich znowu myśleć. Stern i jego przyjaciele byli pewni, że po złamaniu najbardziej niebezpiecznego przeciwnika, jego kandydaturze nic na przeszkodzie nie stanie; wszelako przeciwnik, mimo że chwilowo był pokonany, nie był jeszcze zupełnie złamany. Tyle siły, ile potrzebował na pokonanie Sterna, mógł jeszcze w sobie znaleźć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

NAJNOWSZA POWIEŚĆ OKTAWJUSZA FEUILLET.

(Dokończenie.)

XVI.

Kobiety zwykłe kochać ludzi dzielnych i zwycięzców. Zapewne wskutek tej skłonności szlachetnej, a tak u jej płci naturalnej, pani de Maurecamps zdawała się zapominać o zuchwałej minie i złej reputacji kapitana i zaczynała nawet odznaczać widocznie swoją łaską nadzwyczajną, człowieka, któremu do niedawna okazywała pogardliwą obojętność, graniczącą prawie ze wstrętem. Jakkolwiek nie był przygotowany na konkietę z tej sfery, pan de Sontis musiał zauważyć i zrozumieć doniosłość grzeczności, którą go obdarzano. Zrazu odpowiadał na nie z wielką ostrożnością, czy, że będąc przyzwyczajony do pospolitych miłostek garnizonowych, czuł się onieśmielony, wobec takiej elegantki i wielkiej damy, jak pani de Maurecamps, czy też przewąchał — a był nadzwyczaj sprytny — jakąś pułapkę, w tych uprzejmościach, których, (jeżeli miał iskrę zdrowego rozsądku) nie powinien się był czuć godnym po prostu.

Jakkolwiek mogło to się wydać szczególnem i nieprawdopodobnem, zdawało się jednak nie ulegać wątpliwości, iż ta kobieta, czarowna, delikatna i czysta dotąd, rozgorzała nagle miłością dla lamparta zżytego i najpospolitszego w świecie. W ostatnim tygodniu pobytu w zamku kapitana, objawy szalonej namiętności Joanny, przedstawiały się coraz częściej oczom zdumionym, ciekawych i zazdrośnych. Dziwiono się nawet niepospolicie, iż to całe postępowanie, tak w oczy bijące, nie zwróciło dotąd uwagi tego, którego to najwięcej obchodzić było powinno, mianowicie pana de Maurecamps, który złożył już był przecie dowody drażliwości małżeńkiej. Tem więcej to wszystkich uderzało, iż pani de Maurecamps nie kryła się z tem bynajmniej i była niesłychanie nieostrożną. Nie raz pod nosem męża, szeptała godzinami w ciemnym kąciku do ucha panu de Sontis, lub wybierała nieszczęśliwie i niezgrabnie, właśnie tę chwilę, kiedy jej mąż przez dziedziniec przechodził, aby rzucić kwiat kapitanowi, który tylko co na jej gorsie spoczywał, zapóźniała się z nim w konnych wycieczkach, gubiła się z nim podczas przechadzek w lasku i wracała późnym wieczorem, gdy już pan de Maurecamps zaczynał się na dobre niecierpliwić, jeżeli nie nazwiemy tego niepokojem. Na koniec walcowała po całych wieczorach z kapitanem, uwieszona miłośnie na jego ramieniu, rzucając mu w oczy słówka czułe i strzelając na niego oczyma, które każdą kroplę krwi mogły w nim rozpłomienić.

Jakkolwiek ostrożny i niedowierzający zrazu, uległ wreszcie tylu dowodom pan de Sontis. — Może też dano mu rękojmię dostateczną, aby rozprószyć jego pierwotne wątpliwości. — Bądź jak bądź i on wkrótce podzielił namiętność, którą natchnąć potrafił. Wlał nawet w tę miłość tak nową dla niego, pewną eksaltację dziką i ponurą, która panią de Maurecamps, zdawała się cieszyć niesłychanie.

Pan de Maurecamps dalej nic nie widział. — Jednak, dla tego czy dla owego, był jakiś nie swój, mniej udzielający się, mniej hałaśliwy, mniej arogancki, niż za zwyczaj, stawał się prawie melancholijnym. Jego twarz zwykle purpurowa, mieniła się chwilami w kolor sino blady, prawie zielonkowaty. Badacz uważny i z inteligencją, byłby łatwo dostrzegł spojrzenia ironiczne i wyzywające, któremi obrzucała go żona od czasu do czasu, a przed któremi on uciekał widocznie z niechęcią i pewnym niepokojem.

Dwudziesty ósmy listopada był ostatnim dniem, który kapitan de Sontis miał w zamku przepędzić.

Nie polowano dnia tego. — Pan de Maurecamps, zaraz po śniadaniu, poszedł pilnować jakiegoś nowego budynku, który na gwałt przed zimą kończono. Aby wrócić do zamku, nie szedł główną ulicą, ale wybrał, jak zwykle, ścieżkę mniejszą, o wiele drogę skracającą, którą pospolicie aleją Diany nazywano. Przechodziła przez lasek, dotykający do dawnego parku, a który miano wykorczować i sad tamże zasadzić; tymczasem jednak było to miejsce dzikie, rodzaj nieprzebitej gęstwiny, nadzwyczaj cichej i na uboczu położonej. Nazwę „Aleji Diany“ zawdzięczało posągowi tejże bogini, z którego tułów jeno został, a głowa gdzieś w trawę odleciała. Miejsce tak samotne i tajemnicze, było jedyne do przechadzek i zwierzeń miłośnych. Była to jednak wielka nieprzezorność ze strony Joanny, iż właśnie to miejsce wybrała tego ranka, za widownię jej czułego pożegnania z kapitanem. Wiedziała doskonale o wycieczce męża do owego budynku, wiedziała nie mniej, którą drogą zwykł powracać, jakże mogła tak się dać zaślepić namiętności, aby zapomnieć, iż prawdopodobnie wróci o tej samej godzinie, w której ona wyznaczyła *rendez-vous* panu de Sontis.

Koniec końców, byli tam oboje, nadzwyczaj czule sobą zajęci; siedzieli do siebie przytuleni, na starej ławce, zmorszałej, osłoniętej zieloną kopułą, a ustawionej naprzeciw posągu Diany. W wilją odjazdu kapitan stawał się natarczywszym, Joanna coraz słabiej się opierała; mówili do siebie po cichu, ręka w rękę, tak zbliżeni, iż twarze obojga prawie się z sobą stykały, gdy nagle pan de Sontis ujrzał w oku Joanny iskrę, płomień przelotny, który widocznie nie do niego się odnosił; powiódł wzrokiem w tym samym kierunku i zobaczył jak przez mgłę, pomiędzy drzew koronami, na końcu aleji, człowieka, który przystanął i zdawał się

wahać, czy iść dalej; wreszcie obrócił się do nich plecyma, a poszedłszy inną drogą, zniknął na zakręcie. — Panu de Sontis zdawało się, iż poznawał w tym człowieku pana de Maurecamps.

— Czy to był mąż pani? — zapytał.

— Tak.

— Czy myślisz pani, że nas widział?

— Nie wiem — odrzekła Joanna. — Ale jeżeli nas widział, to podłym jest!

Czy ich spostrzegł czy nie, dość że pan de Maurecamps wrócił spokojnie do domu, drogą dłuższą wprawdzie, ale wygodniejszą, przez dziedziniec zamkowy. Wyszedł niedługo potem do lasu, gdzie właśnie na zimę drzewo ścinano. Nie pojawił się aż z pierwszem uderzeniem dzwonka, na objad zwołującego.

Było to może przewidzeniem ze strony pana de Sontis, ale zdawało mu się, wchodząc do salonu, iż w przyjęciu pana domu był pewien przymus, a na twarzy malował się jakby niepokój. — Usiedli do objadu. — Było ze dwudziestu współbiesiadników. Obrażono się cokolwiek, widząc, iż pani de Maurecamps, sadza po prawej stronie obok siebie kapitana, który był najmłodszy pomiędzy jej gośćmi i zajmował najpośledniejsze stanowisko; odjeżdżał nazajutrz i ta okoliczność tłumaczyła niejako nadzwyczajny zaszczyt, który mu wyrządzano. Bądź, że to wykroczenie przeciw etykiecie, rozgniewało niektórych, bądź, że odczuwano w powietrzu pewną duszność, burzę zapowiadającą, dość, że towarzystwo całe, na początku objadu, było milczące i w usposobieniu lodowatem. Obfitość jednak i dobór win doskonałych, któremi oblewano jadło wyśmienite, rozprószyło wkrótce złe humory, rozjaśniło czoła i rozbudziło umysły. Żywość rozmowy, doszła nawet do wyższego nastroju, niż zwyczajnie, jak to często bywa, gdy z razu potrzeba pewnego wysiłku, aby pierwsze lody przełamać. Słowem: obiad, który zaczynał się poważnie, niby stypa pogrzebowa, kończył się wesoło, jak prawdziwa uczta strzelecka, której dodają uroku piękne, młode kobiety. Sam pan de Maurecamps, który zwykł był wychylać do dna kielichy, ale dziś częściej jeszcze, niż kiedy indziej, na dno tychże zaglądał, zdawał się powoli otrząsać z chmur, które zrazu umysł jego obciążały. Może też cieszył się w duszy, iż pozbędzie się wkrótce gościa niewygodnego. Przybrał nawet znowu swój dawny ton pewny i arogancki, głosem szepleniącym a donośnym, raczył udzielać gościom, niektórych swoich zasad i systemów ulubionych.

Pani de Maurecamps ze swojej strony, była tak łaskawą dla pana de Sontis i takiemi go odznaczała grzecznościami, iż mimo całej zarozumiałości, był niemi widocznie zakłopotany; jednocześnie zapewne, aby naśladować w tem męża, wychylała raz po raz pełne kieliszki soternu i szampana, co ją pobudzało do szalonej wesołości. Wśród tych jednak wybuchów śmiechu hałaśliwego, zapadała od czasu do czasu w jakąś zadumę nieokreśloną, niby strudzona bachantka. — Przy deserze oświadczyła, iż kawę czarną, wszyscy w sali jadalnej wypiją; bawią się tak dobrze, z taką werwą, gdyby się rozeszli, jedni do fajczarni, drudzy do salonu, popsuło by to szyki... Zostaną więc razem, a panom wolno będzie cygara zapalić. To pozwolenie wywołało frenetyczne oklaski pomiędzy biesiadnikami.

Wniesiono kawę; taca z cygarami różnego gatunku, krążyła pomiędzy panami. Joanna zapragnęła spróbować palić i wzięła z tacy Trabukosa.

— Ależ zaszkodzi ci niezawodnie — zawołał pan de Maurecamps — zapal przynajmniej cygaretto.

— Nie, nie! Chcę wielkie cygaro! — krzyknęła młoda kobieta, której oczy niby mgłą zachodziły.

Pan de Maurecamps wzruszył ramionami i więcej nie rzekł ani słowa.

Zapałka zatrzeszczała w jej różowych paluszkach, zbliżyła do niej cygaro i zaczęła palić z brawurą, która znowu wywołała podziw całego towarzystwa.

Po dwóch, lub trzech minutach:

— Wiesz co! — rzekła — miałeś słuszność... niedobrze mi!

A zwracając się nagle do swojego sąsiada po prawej stronie:

— Kapitanie — przemówiła, wyjmując z ust mokre cygaro i podając je panu de Sontis — dokończ go proszę!

Na ten ruch, na te słowa, zdawało się, iż dwudziestu biesiadników — jakkolwiek pełnych życia i hałaśliwych — jakaś siła nadnaturalna, nagle w posągi marmurowe przemieniła; — tak głębokie milczenie w sali zapanowało, jakby zupełnie próżną była; tylko krople deszczu słychać było o szyby uderzające i świst przeciągły wichru jesiennego.

Wszystkich oczy, najprzód na Joannę skierowane, przeniosły się następnie na jej męża, który zwyczajem francuzkim, siedział naprzeciw żony; ten był śmiertelnie blady, patrzał na pana de Sontis i czekał.

Kapitan wahał się; wzrokiem wytężonym zdawał się badać Joannę.

— I cóż? — uśmiechnęła się szyderczo. — Czy boisz się kapitanie?

Przestał się wahać, wziął cygaro, które mu ofiarowała i włożył sobie w zęby.

W tej samej chwili, baron de Maurecamps, wyjął z ust własne cygaro, a ciskając nim gwałtownie w twarz pana de Sontis:

— Racz i moje dokończyć kapitanie! — krzyknął głosem piorunującym.

Cygaro do połowy nadpalone, spłaszczyło się na fizjonomji kapitana, rozrzucając w około garść iskier.

Wszyscy powstali.

Wśród ogólnego zamięszania i osłupienia, Joanna nagle wytrzeźwiona, stała jedna wyprostowana, zimna i obojętna, opierając się o krzesło jedną dłonią; jej piękne rysy — które niegdyś miały wyraz tak wzniosły

i szlachetny — zdawały się pokryte maską Tisiphony; malował się w nich rodzaj wstrętu, pomięszany z dziką radością, którą musiało zajaśnieć piękne czoło Marji Stuart, gdy usłyszała eksplozję i ujrzała się pomszczoną na Rizzia zabójcy.

XVII.

Wskutek tej sceny, której następstwa groziły straszliwą tragiką, większa część zaproszonych ulotniła się pokryjomu; sąsiedzi wiejscy kazali czemprędzej zaprzęgać, inni użyli pociągu wieczornego, aby wrócić do Paryża; w zamku zostali tylko najzaufańsi przyjaciele.

Kapitan de Sontis, ma się rozumieć, wyjechał jeden z pierwszych. Zainstalował się na noc, w jednej z najbliższych wsi, która z La Venérie graniczyła. — Pojedynek uznawszy za nieodwołalny, dwaj oficerowie z tego samego pułku strzelców, którzy jedli obiad razem z panem de Sontis, znieśli się natychmiast z panami d'Hermany i de la Jardye, których pan de Maurecamps wybrał sobie znowu za sekundantów.

Nie będziemy nużyli czytelników, powtarzaniem szczegółowem umawiań wzajemnych tych panów. Ma się rozumieć, iż o załatwieniu tej sprawy w drodze pokojowej mowy być nie mogło. Co do wyboru broni, aż nadto jasnem było, iż pan de Maurecamps, po tylu próbach niefortunnych, odbytych podczas szermierki z panem de Sontis, byłby chętnie wybrał pistolety, ale jeżeli postępek w najgorszym tonie, którego dopuścił się kapitan, zachęcony przez panią de Maurecamps, postawił jej męża w roli obrażonego, tenże wyrzekł się sam tej roli, odpowiadając nawzajem czynem brutalnym i obelgą śmiertelną. — Zresztą duma pana de Maurecamps, raz w życiu dobrze go natchnąwszy, kazała mu przyjąć bez wahania szpadę, jakiegokolwiek rodzaju mogły być jego wewnętrzne pod tym względem rozumowania.

Zadecydowano, iż spotkają się nazajutrz rano o dziewiątej, w lesie w la Marne, przytykającym do borów w la Venérie. — Osądzono, iż nie wypadało bić się na gruncie pana de Maurecamps.

Nie wiele kto snu zaznał tej nocy w zamku. — Obcy goście odbywali schadzki mocno ożywione, z pokoju do pokoju, udzielano sobie wiadomości, mężczyźni dysputowali nad kwestjami honoru, kobiety rodrażnione i zdenerwowane, rozprawiając po cichu, ocierały łez kilka, a w gruncie były tem wszystkiem mocno zaintrygowane, a nawet rozbawione. — Zbytecznem byłoby dodawać, iż cały służebny personal, od kuchni aż do stajen, był tak mocno w poruszeniu, to jest, doświadczał pewnej miłej emocji i niepokoju gorączkowego, który zwykliśmy odczuwać, wobec niebezpieczeństw, nas w niczem nie dotykających.

Co do obojga państwa domu, jest dość prawdopodobnem, iż również nie spali tej nocy. Pan de Maurecamps musiał zrozumieć, iż nadchodzi dla niego chwila groźna i stanowcza i zapewne spędził noc na jakiem takiem porządkowaniu swoich interesów. — Joanna zamknęła się, nie chcąc widzieć nikogo; dowiedziano się tylko z raportu pokojowej, iż pani (jak się wyraziła) biegała całą noc wszersz i wzdłuż pokoju i mówiła sama do siebie, jakby jaka komedjantka nieprzymierzając.

Zadniało wreszcie... Dzień zapowiadał się chmurno i posępnie, jak zwykle bywa przy końcu listopada, gdy pan de Maurecamps, którego pokoje były na dole, wyszedł na podwórze, aby tamże wypalić cygaro. Doszedł zamyślony aż do bramy zamkowej, w chwili, gdy wchodził przez furtkę z boku, chłopak wiejski około lat czternastu mający, który drgnął przestraszony na jego widok i stanął jak wryty; zdawało się panu de Maurecamps, iż poznaje w tym chłopaku stajennego z pobliskiej oberży. Chłopak był tak zmięszany i zakłopotany, iż mimo głębokiej zadumy, uderzyło to pana de Maurecamps.

— Co to jest? Gdzie idziesz? — spytał groźnym tonem.

— Do zamku — wybełkotał chłopak czerwony jak piwonja.

Jednocześnie, z właściwą mu niezgrabnością, starał się ukryć w zanadrzu, coś, co w ręku trzymał.

— Po co idziesz do zamku?

— Do panny Julji.

Julja była pokojową pani de Maurecamps.

— Któż cię posłał?

— Jakiś pan — szepnął chłopak coraz więcej zmięszany.

— Pan, który mieszka w oberży?

— Tak.

— Oficer?

— Tak.

— Cóż tam chowasz pod bluzą?... list?... czy co?... Daj mi go tutaj... Dawaj natychmiast!

Chłopak, któremu na płacz się już zbierało, rad nie rad, pozwolił sobie wyjąć z pięści kurczowo zaciśniętej, zmięty bilecik.

Na kopercie nie było adresu.

— Dla kogo ten bilet chłopcze?

— Dla pani — bąknął chłopak.

— A więc kazano ci go wręczyć pannie Julji, ażeby bilet pani oddała?

Skinął głową potwierdzająco.

— Dobrze moje dziecię — przemówił łagodniej pan de Maurecamps — załatwię twój interes... Chodź za mną i czekaj na odpowiedź, jeżeli jaka będzie.

Pan de Maurecamps, za którym szedł młody wieśniak, wrócił się szybko do zamku, a zostawiwszy w sieniach chłopaka, wszedł do siebie. Zaledwie znalazł się w swoim pokoju, rozdarł kopertę, wyjął z niej list dla Joanny przeznaczony i wyczytał tych kilka słów niepodpisanych, lecz których pochodzenie nie podpadało najmniejszej wątpliwości.

„Nie trwóż się pani. Przez miłość dla ciebie będę go oszczędzał.“

Idąc za pierwszym popędem, chciał pan de Maurecamps podrzeć w kawałki to pismo zuchwałe i rzucić w płonący kominek. Wstrzymał się jednak od tego,

po bliższem zastanowieniu. Wziął z biurka inną kopertę, wsunął w nią list i opłatkiem — jak wprzódy była — zapieczętował.

Przejęła go dziwna ciekawość, pragnął się dowiedzieć, czy żona jego odpisze co w ogóle i jaką da odpowiedź.

Wyszedł nazad do sieni.

— Mój chłopcze — rzekł, oddając list napowrót — nie mogłem odszukać panny Julji... musi być w oficynach... Idź zadzwoń do tych tam drzwi naprzeciw... Pytaj się o nią... A tu masz franka za twoją fatygę.

Chłopak podziękował i poszedł w kierunku wskazanym. — Pan de Maurecamps ze swojej strony, doszedł do bramy, minął ją i udał się na drogę do wsi prowadzącą, gdzie zaczął się przechadzać powoli.

Rzecz dziwna! niespełna za godzinę, miał narażać życie w walce nader groźnej, a myśli te, jakkolwiek poważne, ustąpiły przed jedynem pytaniem, które umysł jego wyłącznie zajmowało.

— Co też moja żona odpowie?

W rzeczywistości, ten człowiek energji czysto fizycznej, upadał pod ciężarem tajemnego niepokoju, który go męczył od kilku tygodni. Jego władze umysłowe, nie umiały oprzeć się rodzajowi osłupienia i zmysły mu się prawie mięszały pod wrażeniem ciągłem dzikiej nienawiści i chęci nieubłaganej pomszczenia się krwawo, której czuł się na pastwę rzucony. Przyzwyczajony uważać kobiety jako dzieci nieletnie i używać tychże jako zabawek, był zdumiony, a nawet przerażony, znajdując raptem w jednej z tych istot wiotkich i pogardzanych, głębokość poglądów i siłę woli, w obec której, wszystkie jego władze osobiste — dzielność fizyczna, wielki majątek, stanowisko socjalne, przewaga mężowska — nie miały żadnego znaczenia i w nicość się rozpływały.

Byłby może drogo zapłacił w tej chwili trwogi i zwątpienia rozpaczliwego, za jedno słówko poczciwe, dowodzące pewien interes, a choćby iskrę litości ze strony tej kobiety, tak dawniej pogardzanej... Może spodziewał się znaleść to słówko w odpowiedzi, której oczekiwał...

W kwadrans później, chłopak ukazał się na drodze, wracając z zamku. Zupełnie uspokojony swojem pierwszem spotkaniem z panem de Maurecamps, nie zadawał sobie pracy, aby schować papier, który niósł w ręku. Przeszedł obok, kłaniając się i uśmiechając dobrodusznie.

— Ah! — zatrzymał go ręką pan de Maurecamps — wracasz z odpowiedzią! pokaż no!... Wiem o co idzie... może sam co dopiszę... — jednocześnie wtykał mu w rękę drugiego franka.

Wziął list. Koperta była świeżo zapieczętowana i i jeszcze guma była wilgotna, nie potrzebował więc rozdzierać jej, aby otworzyć. — Znalazł w kopercie ów bilet kapitana de Sontis, który pani de Maurecamps odsyłała, dodawszy swoją odpowiedź.

Pod spodem wiersza nakreślonego ręką kapitana:

„Nie trwóż się pani. Przez miłość dla ciebie, będę go oszczędzał.“

Pani de Maurecamps dopisała po prostu:

„Bez skrupułów, bardzo proszę!“

Baron de Maurecamps, bilet przeczytawszy, włożył napowrót w kopertę i oddał posłańcowi.

XVIII.

W godzinę później, pojedynek odbywał się w lesie umówionym i pan de Maurecamps padał, z piersią na wylot przeszytą.

Długo myślano, iż tego nie przeżyje, gdyż płuca były mocno nadwerężone. Silna jego natura uratowała go od śmierci. — Zdrowie mu jednak nigdy już nie wróciło i stan jego moralny, został na zawsze, dziwnie niespokojnym i przygnębionym.

Zdawał się zresztą przypuszczać, z częścią najpobłażliwszą publiczności, iż żona jego w owej całej awanturze z kapitanem de Sontis, popełniła ten błąd jedyny, iż wypiła za wiele szampana i zapaliła za mocne cygaro, co wszystko razem, tak ją odurzyło, iż nie wiedziała wcale co czyni. Mógł więc zostać z nią pod jednym dachem, w stosunkach przyzwoitych, a nawet stał się odtąd uległym, cichym i prawie pokornym względem żony, co jest dziwnie uderzającem u człowieka, tak niegdyś gwałtownego, dumnego i pełnego zarozumienia.

Prawdą jest, iż udało mu się zmienić radykalnie naturę żony i że mógłby się pysznić swojem dziełem. Joanna przestała być romantyczką, nie czytała więcej Tennysona. Od kiedy zabito jej towarzysza ze sfer idealnych, ideał sam przestał istnieć dla niej. Udając zrazu, w chęci pomszczenia się i dokuczenia, iż jedyną przyjemność znajduje w ciągłym ruchu i w rozkoszach czysto zmysłowych, zdaje się teraz, bądź przez zniechęcenie, bądź przez zwątpienie o sobie samej, odgrywać tę rolę, najnaturalniej w świecie.

Zimna, szydercza, kokietka bez miary, rozrzutnica bez opamiętania, obojętna zresztą na wszystko, po śmierci matki swojej, która nie dawno nastąpiła, zachowała w duszy, ile się zdaje jedno uczucie uczciwe i szlachetniejsze — a które wiedzie ją trzy razy w tygodniu, do łoża boleści, staruszki sparaliżowanej i na pół zdziecinniałej... hrabiny de Lerne.

Nic więcej nie mamy do powiedzenia o Joannie de Lautor-Mesnil, baronowej de Maurecamps. Przestaliśmy — jak również zapewne i nasi czytelnicy — interesować się nią, od kiedy okrutna odpowiedź, dana panu de Sontis, przekonała nas niestety, iż ów anioł przemienił się nieodwołalnie w potwora.

Sens moralny tej historji, aż nadto prawdziwej, jest ten: iż w porządku świata odwiecznym, potwory się nie rodzą, Bóg ich nie stwarza — ale ludzie ich na takich urabiają, często, bardzo często! — O czem matki nie powinne zapominać.

K O N I E C.

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Powietrze okazało się nazajutrz cokolwiek łaskawszem. Słońce wprawdzie nie zdołało całkiem chmur przebić i tylko jak lampa w mlecznej kuli na niebie świeciło, zamieć śnieżna jednak ustała, wicher się uspokoił i dzień obiecywał być wcale znośnym do polowania.

Bardzo wcześnie, jeszcze o zmroku, opuścił Oswald swój pokój i udał się na przeciwną stronę do apartamentów młodego hrabiego. Z gości nikt się dotąd nie pokazywał, służba jeno uwijała się z tacami po korytarzach, a na dziedzińcu słychać było rżenie koni i psów ujadanie.

Sypialnią Edmunda zastał na klucz zamkniętą. Uderzyło go to, jako coś zupełnie niezwykłego. Nigdy dawniej Edmund się nie zamykał. Po kilkakrotnem pukaniu, otworzyły się drzwi nareszcie.

— Ah! to ty Oswaldzie, już tak wcześnie?

Głos Edmunda był drżący, a ton zdradzał, jak mu niemiłą jest ta niespodzianka. Oswald wszedł przecież.

— Jesteś już zupełnie ubrany, jak widzę — odpowiedział — w niczem ci więc nie przeszkodzę wczesną wizytą.

Młody hrabia był w pełnym stroju myśliwskim, wyglądał jednak bardzo mizernie, jakby całą noc bezsennie przepędził, a głęboko zapadnięte oczy świeciły blaskiem gorączkowym.

— Zmieniłeś zapewne twój zamiar — z lekka napomknął — przychodzisz mi zapowiedzieć, że jedziesz z nami na polowanie, z czego cieszę się bardzo!

— Nie — Oswald odrzucił. — Wiesz, że dziś odjeżdżam przed południem. Ponieważ nie spodziewam się, byś tak rychło wrócił z polowania, przyszedłem cię pożegnać.

— Czyż to koniecznie musiało w cztery oczy nastąpić? — spytał Edmund sarkastycznie, unikając najstaranniej badawczego wzroku Oswalda.

— Niezawodnie! Mam niejedną ważną kwestję z tobą do omówienia, wczoraj zaś nie mogłem cię złapać na minutkę. Unikałeś mnie widocznie. Byłeś zresztą tak zajęty twoimi gośćmi, a taki jakiś rozstrojony, żem nie śmiał cię nudzić interesami.

— Interesa, interesa?... Aha! myślisz zapewne o sprawie z rządcą. Czyś był łaskaw z nim mówić?

— Musiałem, skoroś ty najmniejszej po temu chęci nie okazywał. Rzecz się tak miała, jak się tego obawiałem. Gdy łotra przekonałem, że nici całej intrygi mam w ręku, dał pokój wykłamywaniom i przyznał się do wszystkiego. Dałem mu do wyboru, oddać papiery i natychmiast opuścić Ettersberg, albo przygotować się na śledztwo sądowe. Wybrał pierwsze, ma się rozumieć! Oto pełnomocnictwo i inne ważne papiery, od niego odebrane. Dobrze byś jednak zrobił, gdybyś cały fakt ogłosił gazetami. Ze stolicy wyjeżdżając, wynotowałem sobie adres kupca, i tego również uwiadomiłem telegraficznie w twojem imieniu, że nie ma się po co trudzić, gdyż rządca jest dawno już oddalony, a ty o sprzedaży nic wiedzieć nie chcesz. Tym więc razem niebezpieczeństwo zostało szczęśliwie usunięte.

Cały ten raport składał tonem czysto urzędowym, nie podnosząc bynajmniej, ile w tej sprawie jest jego zasługi, jak się wziął do niej szczerze, rozumnie i energicznie. Nie podobna, żeby tego również Edmund nie odczuł. Poświęcenie atoli kuzyna, zdawało się raczej go uciskać, niż cieszyć; odpowiedź też brzmiała nader sucho i zimno:

— Wdzięczny ci jestem nieskończenie! Wiedziałem, że pokierujesz tą sprawą stokroć lepiej, niż jabym potrafił.

— W każdym razie, było to twoim obowiązkiem — Oswald surowo i z wymówką zauważył. — Żeby twojej powagi nie kompromitować, udałem przed rządcą, że ty byś mu nie mógł tego płazem puścić, a ja znowu nie chcę gubić na zawsze ojca licznej rodziny i dla tego pierwej z nim tę kwestją omawiam. Inaczej, cóżby ten człowiek pomyślał o twojej obojętności, w sprawie tak cię z bliska dotyczącej?

— Mówiłem ci już wczoraj, że nie jestem obecnie w usposobieniu...

— Widziałem to, a ponieważ znam powód tegoż, miałem cię za wytłumaczonego.

Młody hrabia zbladł jak ściana i całą siłą o biurko się oparł, aby nie upaść. Szeroko rozwarte, błędne jego źrenice, wpatrywały się tak uporczywie w Oswalda, jakby go na wskroś chciały przeniknąć.

— Wiesz? — spytał głosem urywanym. — Co się to znaczy? O czem się dowiedziałeś?

— Od wczoraj patrzysz na mnie jak na wroga. Daję ci jednak słowo honoru Edmundzie! — a wiesz że niem nie szafuję dla byle czego — iż zeszliśmy się całkiem przypadkowo. Jeżeliś co usłyszał i podpatrzył, zaręczam ci, że niema w tem cieniu winy z naszej strony. Jadąc tu nie przypuszczałem, że spotkam pannę Rüstow, a ona tem mniej mogła się czegoś podobnego spodziewać. Nagłe wzruszenie nas opanowało... możeśmy byli za słabi w tej chwili, aby je stłumić, aby mu się oprzeć... możeśmy za wiele sobie powiedzieli... był to jednak czyn bezwiedny, a za taki nikt nie odpowiada.

Przerażenie, które Edmunda przed tem opanowało, przytomność mu nieledwie odbierając, ustępowało powoli, wyglądał jednak, jak ktoś nagle ze snu zbudzony, który nie może na razie zrozumieć, co się z nim dzieje.

— O czem ty mówisz? O jakiem spotkaniu? — zaczął znowu po chwili trąc czoło, jakby chciał zebrać myśli rozpierzchłe. — Ach! prawda! Jadzia wychodziła, a właściwie stała nad tobą, trzymając cię za ręce... Uciekła, gdy mnię ujrzała... Była blada i spłakana... teraz zaczynam sobie przypominać... Cóż się to wszystko znaczy? Czy przypadkiem, nie kochasz się ty w Jadwidze?

Oswald spuścił w dół oczy. Kłamać nie umiał.

— Ha! ha! ha! To wyborne! A Jadwiga? Czy podziela twoje uczucia? Czy... czy... jesteś nawzajem kochany?

— Nigdy, ani jednem słowem, nie zdradziłem przed nią mojej miłości.

— Czyż na to słów potrzeba! Musisz wiedzieć, czy posiadasz jej wzajemność? Wszak to się odczuwa w każdem spojrzeniu, w każdem tchnieniu nieledwie. Myślisz, iż ja od dawna nie czuję, że nie posiadam jej całej miłości, że jakiś cień wciska się pomiędzy nas! Czyż ty jesteś owym cieniem? Odpowiadaj! Chcę pewności, za jaką bądź cenę!

— Panna Rüstow potrafi uszanować świętość danego przyrzeczenia, tak, jak ja potrafiłem... oddalić się na zawsze — rzekł Oswald wymijająco, głosem złamanym.

Milczenie zaległo w pokoju. Słychać było jedynie ciężki, urywany oddech hrabiego.

— A więc i to jeszcze, i to! — jęknął głucho po chwili.

Oswald spojrzał na niego z niepokojem. Przygotował się na scenę gwałtowną, na wyrzuty namiętne, a tymczasem spotykał ponurą rezygnację, tak niezgodną z burzliwym charakterem Edmunda.

— Nigdybym nie śmiał marzyć o związku podobnym — znowu cicho przemówił — choćby panna Rüstow wolną była. Za nadto wielka dzieli nas różnica materjalna. Pod takim ciężarem nie mógłbym swobodnie odetchnąć. Moja karjera ledwie się zaczyna. Lat potrzeba, aby się przebić przez świat, a cóż dopiero mówić o majątku! Ty zaś od razu zapewniasz jej świetne pod każdym względem stanowisko.

Słowa ostatnie miały działać uspakajająco, wręcz przeciwny jednak skutek odniosły. Edmund wybuchnął śmiechem tak ostrym, tak iście szatańskim, że aż szyby w pokoju zabrzęczały. Potem rzekł z najwyższą goryczą i szyderstwem:

— Czy nie myślisz mi zazdrościć świetnego losu? Ha! ha! ha! jam dziecię szczęścia! nieprawdaż?! Traf... ślepy przypadek, wszystko mi rzucił do kolebki! obsypał mnię darami! A jednak, grubo się mylisz Oswaldzie. Zamienialiśmy role. Myślałem przynajmniej, że posiadam miłość Jadwigi, że tę jedną mogę nazwać moją własnością. I ona nie moja i tę miłość ty mi wydzierasz! O! dosyć już tego, dosyć!... nawet za wiele!...

— Edmundzie! — wtrącił Oswald z cicha. — Odchodzisz od siebie! Zbierz myśli, zastanówmy się nad tą kwestją spokojniej i...

— Zostaw mnię! zostaw! — przerwał mu Edmund gwałtownie. — Nie mogę w tej chwili o niczem mówić, o niczem myśleć, a najmniej nie zniosę twojej obecności. Idź sobie, idź!

Oswald jeszcze próbował zbliżyć się do niego, hrabia jednak tupnął nogą, odtrącił go z wściekłością z szaleństwem graniczącą, i krzyknął na głos cały:

— Chcę być sam, mówię ci! Czyż już nie jestem panem, nawet w moim własnym pokoju?! Czy muszę cię znieważyć, abyś sobie precz poszedł?!

— Tego nie potrzeba — Oswald z dumą się wyprostował, do głębi zraniony. — Gdybym był przeczuł, że w podobny sposób przyjmiesz moje szczere, uczciwe wyznanie... byłbym milczał. Kiedyś opamiętasz się i uznasz, ile byłeś niesprawiedliwym, dla naszej atoli przyjaźni przyjdzie to za późno. Żegnam cię!

Wyszedł, ani okiem więcej nie rzuciwszy na Edmunda. Skoro zamknęły się drzwi za Oswaldem, Edmund upadł bez sił na krzesło najbliższe. Cios, który teraz odbierał, nie był może najcięższym... piorun ugodził w niego wtedy, gdy stracił wiarę w matkę, gdy bóstwo swoje, zobaczył strącone z piedestalu, w pyle u nóg jego leżące, gdy razem z wiarą i szacunkiem, czuł, że i miłość dla matki stygnie w jego sercu, ta miłość, która była jego ideałem!... ale ten cios był już ostatni... i dla tego czuł się nim zupełnie złamany.

W godzinę później całe towarzystwo zebrało się w sali jadalnej, gdzie zastawiono drugie, sute śniadanie. Panowie byli w humorach wyśmienitych, gdyż niebo wyjaśniło się zupełnie i wszystko zapowiadało paradne polowanie. Hrabina robiła przy stole honory, ze zwykłą sobie gracją i uprzejmością. Cokolwiek mogło leżeć jej na sercu, była za nadto damą wielkiego świata, aby zdradzać swoje troski przed obcymi. Jadwiga siliła się również, aby okazać się wesołą, jej to jednak nie tak dobrze się udawało. Za krótko żyła w świecie, aby umieć się tak doskonale zamaskować. Wśród ogólnej, nader ożywionej rozmowy, mało zwracano uwagi na jej smętne usposobienie, a ponurość i milczenie Oswalda, wcale nikogo nie uderzało. Wszak go nigdy innym nie znano!

Sam hrabia najpóźniej zjawił się w sali. Tłumaczył się rozporządzeniami, które musiał jeszcze wydawać co do polowania, a spóźnienie starał się nagrodzić podwójną uprzejmością i gościnnością.

Nie wyglądał już blado, jak przed godziną, przeciwnie, na licu miał rumieniec wypieczony, a oczy iskrzyły się blaskiem fosforycznym. Wpadł w humor tak szalony, w wesołość tak wyuzdaną, że chyba stanem gorączkowym, można ją było sobie tłumaczyć. Ujął natychmiast ster rozmowy. Tryskał z niego dowcip, jak szampan z butelki, żarciki, facecje, dykteryjki o rozmaitych strzelcach i polowaniach, sypały mu się

jak z rękawa. Starał się widocznie przekonać wszystkich, o swoim doskonałym humorze, o nadzwyczajnej, porywającej wesołości i udało mu się to w zupełności. Starsi panowie, utrzymywali jednogłośnie, że hrabia na Ettersberg'u nigdy jeszcze nie był równie przyjemnym, równie dowcipnym, młodsi goście wtórowali mu na wyścigi w szalonej wesołości, podsycanej doskonałem winem i rozmaitemi likierami. Czas mijał z szybkością błyskawicy, aż wreszcie sam gospodarz dał znak wstając od stołu, że trzeba myśleć o wyruszeniu w pole na łowy.

Oswalda jednego nie zdołał oszukać tą sztuczną wesołością. Zgnębiony, milczący, wpatrywał się w kuzyna z coraz wzrastającym niepokojem. Nie dziwiło go bynajmniej, że po scenie tylko co odbytej, Edmund unika go jeszcze staranniej niż wczoraj, skądże jednak bierze się u niego taki humor niezwykły? Chyba rozpacz go podyktowała i próbuje czyby nie utopił ciężkich myśli, bodaj na chwilę, w dzikim szale rozpasanej wesołości.

Teraz dopiero, gdy minął gniew i wzruszenie gwałtowną sceną wywołane, Oswald zaczął się zastanawiać nad pierwotnem wrażeniem, które słowa jego wywołały. Edmund wyglądał zrazu jakby piorunem rażony. Miłości ich wzajemnej wtedy się jeszcze nie domyślał, więc nie zazdrość, tylko coś innego, tak go poruszyło i przeraziło. Cóż to jednak być mogło?

Wszyscy powstali i panowie do dam z pożegnaniem przystąpili. Ubolewano nad Oswaldem, że mu czas nie pozwala wziąć udziału w tak cudownem polowaniu, żegnano i jego, na prędce szafując na prawo i lewo komplementami i zwykłemi zdawkowemi grzecznostkami, które nic przecie nie kosztują, można więc ich sobie nie żałować.

Edmund pożegnał już narzeczonę z tą samą hałaśliwą wesołością, która dziś ani na chwilę go nie opuszczała, kuzynowi rzucił w przelocie krótkie: „*Adieu* Oswaldzie,“ nie czekając wcale na odpowiedź. Chciał widocznie uniknąć wszelkiego z nim bliższego zetknięcia. Przystąpił wreszcie do hrabiny, która z jednym ze starszych panów rozmawiała:

— Chciałbym się i z tobą pożegnać mamo!

Słowa te wymówił z równym pospiechem, jakby od niechcenia, a jednak serce matki odczuło w nich coś niezwykłego. Podniosła na syna wzrok zdziwiony, i w oczach jego wyczytała wyraz dawno nie widziany. Patrzał na nią znowu z dziecięcą miłością; nie było w tych łzawych źrenicach, owego przestrachu, niemal wstrętu, którym każdą chęć, każdy ruch matki ku niemu skierowany zdawał się odtrącać. W jego spojrzeniu była jakaś zagadka tajemnicza, niezbadana, ale nie wstręt, nie wyrzut. Ręka hrabiny, do syna wyciągnięta, silnie zadrżała. Wszak nie miał dla niej teraz nic więcej nad zimny, etykietalny pocałunek, dla *decorum* na jej dłoni składany...

Nagle uczuła się pochwyconą namiętnym uściskiem. Syna ramiona na jej szyi zawisły, usta drgające jej ust szukały i oderwać się od nich nie mogły. Od owej nieszczęsnej chwili, gdy o wszystkiem dowiedzieć się musiał, pierwszy raz odezwała się w jego sercu dawna miłość, dawna czułość dla matki.

— Synu mój drogi! — szepnęła matka w śród łez, a słowa te brzmiały niby skarga, a niby jako trzwożliwe zapytanie. Edmund nic nie odpowiedział, tylko matkę cisnął do piersi i zbierał ustami łzy z jej oczu. Jeszcze raz usta jego na jej ustach spoczęły... wreszcie puścił ją z objęć i rzekł tak cicho, że tylko jej ucho pochwycić mogło tych słów kilka:

— Bądź zdrowa mamo! Kocham cię z duszy całej, ale... odejść muszę!... już czas najwyższy!...

Wrócił do swoich gości, którzy go też zaraz w środek pochwycili i razem wśród śmiechów i żartów zbiegli po schodach na dziedziniec. Matka nie miała już czasu o nic go spytać.

Nikt nie uważał sceny przelotnej między matką a synem. Oswald jednak i teraz oka z nich nie spuścił! pogonił nawet wzrokiem za hrabiną, gdy ta ze sali wychodziła.

Jadzia zbiegła na dół, by tam jeszcze raz pożegnać narzeczonego, stryjenka zaś natychmiast się oddaliła, chcąc uniknąć niemiłego sam na sam z Oswaldem.

Na dziedzińcu wrzał ruch niezmierny. Mnóstwo sanek pozaprzęgano, aby przewieźć panów do bardzo oddalonego lasu, w którym na źwierza nagonkę założono. Służba uwijała się wsadzając i otulając futrami gości wsiadających. Pachołki ledwie zdołali utrzymać psy na smyczy, stangreci ściągali co siły cugle koniom, zniecierpliwionym długiem staniem, które raz po raz parskały i kopytami śnieg w górę wyrzucały.

Najniespokojniej zachowywały się dwa prześliczne kare rumaki, zaprzężone do rosyjskich saneczek, nadzwyczaj eleganckich, ale malutkich jak łupina z orzecha. Była to ta sama para, która o mało nie rozniosła na owej górze, „Jelenim skokiem“ nazwanej, powozu wraz z hrabiną. Odtąd nigdy hrabina temi końmi nie jeździła, i byłaby je najchętniej sprzedała, Edmund jednak do tego nie dopuścił. Miał szczególne w tych koniach upodobanie, trudno bo też było znaleść pary piękniejszej i lepiej dobranej. W dzikości jednak i płochliwości, także sobie równych te konie nie miały. Dziś kazał parę „czarnych djabłów“ (inaczej tychże służba nie nazywała) zaprządz do własnych saneczek, któremi sam miał powozić. Wychodził właśnie, aby cugle z rąk stangreta odebrać.

Wszystko było do odjazdu gotowe, coś jednak przed gankiem panów wstrzymywało. O ile z góry można było sądzić, jakaś uwaga Edmunda żywy spór wywoływała. Starsi panowie niechętnie głowami potrząsali, jakby odradzając, młodsi mieli widocznie zdania podzielone, jedni trzymali z Edmundem, drudzy mu przeczyli, krzyczano i śmiano się na wyścigi. Edmund i tu prym trzymał, najgłośniej się śmiejąc i energicznie o czemś rozprawiając. Wreszcie musiano kwestję sporną

rozstrzygnąć, gdyż sanki zaczęły się rozjeżdżać. I Edmund wsiadł szybko, a chwytając za cugle, tak gwałtownie niemi ściągnął, że konie od razu dęba stanęły i ledwie stangret zdołał je uspokoić.

Rzecz szczególna! Edmund jechał sam jeden. Nawet stangret na skinienie ręki pańskiej od sanek odstąpił.

Strzelcy jeden po drugim salutowali piękną narzeczonę hrabiego. I ten ją pożegnał, czułem za rączkę ściśnieniem i wesołym śmiechem.

Już miał odjechać, w tem podniósł wzrok do okna, w którem ujrzał postać matki, ku niemu się wychylającą. Skinął jej głową i ręką. Rysy przed chwilą uśmiechnięte, drgnęły kurczowo, zbladł straszliwie, a oczy łzami mu zaszły. W spojrzeniu, które posłał matce, czytało się nie tylko ból śmiertelny, lecz jakby niemą, błagalną prośbę o przebaczenie... Jeszcze chwila, a konie słysząc nad sobą swist batoga, jak strzała, w szalonym galopie od ganku z kopyta ruszyły,

Oswald przerażony od okna odstąpił.

— To wyglądało jakby pożegnanie... na zawsze! — mruknął z cicha. — Co się to znaczy? Jakie są Edmunda zamiary?

Wyszedł spiesznie ze sali, aby przejść do drugich pokoi, gdy na progu spotkał wracającego kamerdynera.

— Czemu panowie zatrzymywali się przed gankiem? — spytał staruszka gorączkowo. — O czem mówił z nimi Edmund i dla czego sam wsiadł do sanek?

— Stanął zakład — odrzekł Eberhardt z miną bardzo frasobliwą — pan hrabia chce jechać przez Skok jeleni.

— Przez tak stromą górę w zimie! Ależ to może grozić niebezpieczeństwem!

— I do tego — jak mówił Hans nasz gajowy — wicher zdmuchał wszystek śnieg z grzbietu góry i barjery w najgorszem miejscu zawaliły się pod zaspy ciężarem. Ma tam być ślizgo jak po szkle! Panowie, szczególnie starsi, perswadowali i strasznie głowami kręcili, panna Rüstow, także prawie z płaczem prosiła, ale nasz pan kochany jak się uprze, to i Święty Boże nie pomoże! Śmiał się jeno z wszystkich i żartował, że będzie na miejscu o godzinę wcześniej i wszystką zwierzynę sprzątnie strzelcom z przed nosa, nim oni za nim nadążą. Żeby choć innemi jechał końmi! A to wziął te dzikie bestje!...

— Któż to zaprzągł tę parę, dziś właśnie do sanek mego kuzyna? — zawołał Oswald rozpaczliwie. — Zwykle przecież jeździ kasztanami?

— Stało się to na wyraźny rozkaz jaśnie pana. Sam chodził do stajni przed śniadaniem, aby tego dopilnować.

— A czemuż stangret został?

— Także na rozkaz pana. Chciał koniecznie sam jeden jechać i sam powozić.

Oswald nic już nie odpowiedział. Zostawił przy drzwiach zafrasowanego staruszka, a sam pędem pobiegł do hrabiny.

Stała dotąd w oknie, gdzie ją spotkało ostatnie syna spojrzenie, a chociaż nic nie wiedziała, ani o scenie, która się do dnia z Oswaldem odbyła, ani o owym szalonym zakładzie, musiała coś przeczuwać i czegoś się obawiać, gdyż dotąd z miejsca się nie ruszyła, Blada i jakby skamieniała, ręce na piersiach złożyła a usta drżące zdawały się szeptać słowa modlitwy.

Wstrzęsła się na widok wchodzącego Oswalda. Pierwszy raz od jego odjazdu, znalazła się z nim sam na sam. Wczoraj i dziś widzieli się tylko przy obcych i oprócz ceremonialnego powitania, dwóch słów z sobą nie zamienili. Wiedziała od dawna, że ma w Oswaldzie wroga nieprzejednanego, cóż dopiero teraz, gdy miał w ręku dowody, jak ciężką krzywdę mu wyrządzono. Wprawdzie oddał broń wspaniałomyślnie w ręce hrabiny, czuła ona jednak dobrze, jak wielką przewagę moralną, dawało mu nad nią to nieszczęsne odkrycie tajemnicy, tak dotąd dobrze ukrywanej. Ta kobieta atoli w obec syna jedynie mogła się słabą okazywać, z wrogiem swoim gotowa była stoczyć walkę zaciętą i nie ustąpić kroku, chyba razem z życiem. Patrzała też na wchodzącego Oswalda dumnie wyprostowana, okiem pałającem, z szyderstwem wyzywającem na ustach.

Nic z tego jednak nie nastąpiło, czego się spodziewała i lękała. Oswald szybko do niej przystąpił i spytał bez ogródki, głosem urywanym i stłumionym!

— Co się to stało z Edmundem?

— Z Edmundem? Co pod tem rozumiesz?

— Zmienił się przerażająco, od mego ztąd odjazdu. Wygląda częstokroć jakby odchodził od przytomności. Myślałem z razu, że jestem na tropie tej przyczyny, widzę atoli, żem się zupełnie omylił. Co tu zaszło takiego?

Usta drgające hrabiny słowa nie wymówiły. Znała ona lepiej niż ktokolwiek przyczynę nieszczęsną tej nagłej zmiany, przed tym jednak człowiekiem zdradzić się z nią nie mogła!

— Daruj stryjenka, że ośmielę się zadać jej pytanie, nader drażliwej natury — mówił Oswald dalej. — Idzie tu o sprawę tak wielkiej wagi, że wszelkie względy przed nią ustąpić muszą. Oddałem odjeżdżając pakiecik panu baronowi, prosząc go usilnie, aby oddał go stryjence w cztery oczy, tak, iżby Edmund zachowaj Boże! nie dowiedział się co w sobie zawiera. Czyżby jednak on?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

☛ *Do dzisiejszego numeru dołączamy w nadzwyczajnym dodatku arkusz 4. najnowszego dramatu Mieczysława Schmitta pod tytułem: „Biała gołąbka.“*

Redakcja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.

BIAŁA GOŁĄBKA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał MIECZYSŁAW SCHMITT.

(Ciąg dalszy).

Scena V.

LEONIA, ANNA wchodzi furtką.

ANNA (widząc Leonią zamyśloną skrada się po cichu i całuje ją z nienacka w twarz mówiąc:)

To od Karola!

LEONIA (zmieszana)

Już się dowiedział!...

ANNA.

A o czem by się miał dowiedzieć?...

LEONIA.

Nie, nic... myślałam o czem innem. Jesteś poczciwa, żeś mnie odwiedziła...

ANNA (siadając na ławce)

Stęskniłam się za tobą. Czemu nie przyjdziesz nigdy do nas?

LEONIA.

Byłam niedawno.

ANNA.

Pięknie niedawno. Od przyjazdu hrabiego nie byłaś ani razu.

LEONIA.

Mylisz się zapewne...

ANNA.

Jesteś ze mną nie szczera (wstaje i obejmuje ją ręką). Do mnie nie przychodzisz, a gdy tutaj przybiegłam, wcale się mną nie cieszysz. Aniś mnie nawet nie pocałowała. Lecz wiem ja przyczynę!

LEONIA (z niepokojem).

Więc i ty już wiesz wszystko!...

ANNA.

A wiem, wiem. Lecz, siadajmy (siadają). Wiesz, wczoraj słyszałam przypadkiem rozmowę mego ojca ze Sztorcem. Mówili o Karolu.

LEONIA.

Cóż mówili?...

ANNA.

Brzydko, szkaradnie... Ten Sztorc opowiadał, iż ludzie mówią, że ty nie chcesz Karola... i

LEONIA (przerywa).

Że ja nie chcę Karola?...

ANNA.

Tak, tak, i że teraz powinien się ze mną ożenić.

LEONIA.

Z tobą?...

ANNA.

Ludzie już sami nie wiedzą, co nie wymyślić. Otóż słysząc to, tak byłam rozgniewana że wbiegłam do ojca i powiedziałam, iż wszystko to jest kłamstwem, bo on ciebie tylko kocha, a ty jego, i że macie się wkrótce pobrać... Widzisz więc moja kochana, że nie masz się na mnie za co gniewać, gdyż są to tylko plotki.

LEONIA.

Za cóż bym się miała na ciebie gniewać?...

ANNA.

Bałam się, iż dowiedziawszy się o tem wszystkiem, mogłaś mnie posądzić, że może tego sama pragnę...

LEONIA.

Miałabym ciebie posądzać?...

ANNA.

Tak zimno mnie przyjęłaś...

LEONIA.

Nie Anno, nierozumiem ciebie. Zkąd takie przypuszczenia. Że ludzie mówią, coż ty możesz być winna? A gdyby nawet i prawdę mówili, jeszcze bym się na ciebie nie mogła gniewać. Posłuchaj... bardzo być może, iż za Karola nie wyjdę.

ANNA.

Leonio, co ty mówisz?...

LEONIA.

Widzisz, Karol mnie kocha, ale może i przestać kochać...

ANNA.

Zkąd te słowa Leonio?...

LEONIA (szybko).

To człowiek uczciwy, dobry... Lecz widzisz, ludzie mu powiedzą, że hrabia tam chodzi... nie dla profesora...

ANNA.

Boże!... ty mówisz jak w gorączce!

LEONIA.

Słuchaj... ty nie wiesz wszystkiego... Za chwilę przyjdą tu ludzie, wójt, radni... cała gromada... i powiedzą do mego ojca... mego biednego ojca... Tyś się zaprzedał dworowi tyś pański sługa... a twoja córka... A... Karol... on już usłyszał te straszne słowa (wstaje) Anno... Anno... słyszysz... idą...

ANNA (wstaje i ogląda się).

Boże... co tu się dzieje!...

Scena VI.

ANNA, LEONIA, WÓJT, WIEŚNIACY później JAZOWSKI.

LEONIA.

O mój ojcze!...

ANNA (do ludzi).

Co was tu sprowadza?

WÓJT.

Zwyczajnie panienko ludzie przyszliśmy do ludzi.

1. GOSPODARZ (przerywa).

Co tam z nią mówić, to dworszczyzna.

WÓJT.

Cicho!

2. GOSPODARZ.

Co cicho. Czy myślicie, żeście wójtem, to już nam i mówić przy was nie wolno...

3. GOSPODARZ.

Cicho no Jakóbie. My tu nie przyszli kłucić się, ani rozmawiać z temi panienkami, co im się tak nasz dziedzic...

LEONIA (przerywa).

Ludzie, więc tak umiecie szanować siwy włos mego ojca? Więc za to, że był waszym ojcem, swatem, sługą, taka go czekała nagroda, iż znieważacie jego własne dziecko! Lecz ludzie poczciwi, wy kobiety, które macie ojców, mężów, dzieci, zaklinam was na ich zdrowie, szczęście, odejdźcie, zanim mój biedny ojciec się dowie, po coście tu przyszli... Ach... czyście z kamienia wykuci?...

ANNA.

Leonio, uspokój się... Biegnę po ojca, a on ich wnet uspokoi.

1. GOSPODARZ.

O my się tam bardzo boimy waszego ojca! (do Leonii) Gdzie profesor?...

LEONIA (wskazując na szkołę).

Tam, uczy wasze dzieci, jak kochać Boga i bliźniego. O ludzie, zaklinam was raz jeszcze...

ANNA (wybiegając furtką).

Uspokój się... wracam z ojcem... (wybiega)

2. GOSPODARZ.

Więc chodźmy do szkoły (idzie)

LEONIA (stając przed drzwiami).

Nie pójdziecie tam...

JAZOWSKI (ukazując się).

Co to wszystko znaczy?...

LEONIA.

Ojcze... nie słuchaj... oni nie wiedzą co mówią. Prawda dobrzy ludzie, wyście tu przyszli tylko tak w odwiedziny... Ojcze... oni... oni...

1. GOSPODARZ.

Co tam wiele bredzić!... Za mną... do szkoły...

JAZOWSKI.

Co... pijani, mielibyście wchodzić do tego świętego przybytku... Idźcie, lecz pamiętajcie, że się tam będziecie rumienić przed własnemi dziećmi.

LEONIA.

Ojcze uspokój się...

WÓJT.

Posłuchajcie panie. Nie ma co mówić, ale odkąd nasz dziedzic przyjechał toście się zmienili. Wy już nie nasz. Powiadają nawet, że bierzecie od niego zapłatę...

2. GOSPODARZ.

Przystaliście na pański chléb, będziecie nam buntować dzieci, a wolelibyście pilnować swojego gołąbka!...

JAZOWSKI.

Człowieku, tylko po pijanemu, mogłeś coś podobnego powiedzieć i dla tego ci przebaczam!

WÓJT.

Cicho bo Jakóbie. Otóż my się zebrali i uradzili, że, darujcie panie... ale my sobie poszukamy innego profesora...

LEONIA.

Ojcze nie wierz temu. Oni tego nie uczynią... mówią tylko... bo...

JAZOWSKI.

A jednak już powiedzieli. Dobrze więc stanie się wedle waszej woli... Chodź... dziecko... Sprzeciwiać się im nie mogę... i nie chcę... (zwraca się powoli z Leonią).

WÓJT (zastępując mu drogę zakłopotany).

Jeszcze panie słówko. (cicho) Odradzałem, lecz kilku w radzie przemogło. (głośno) Pierwej my jednak uchwalili posag...

LEONIA.

Chodźmy ojcze... chodźmy...

WÓJT.

I zebraliśmy ten posag... Oto jest... Co się uradzi to się i nie cofa... Przyjmijcie panienko.

LEONIA.

(odmawia ruchem ręki poczem staje nieruchoma do końca sceny).

JAZOWSKI.

Dziecko... Patrz... Chwila ta, czyny te odrębne jak ogień i woda... to tylko wierny obraz tych ludzi. Dobre z natury serce każe im być nawet tam dobrymi, gdzie są tak okrutni. Ludzie, żegnam was... Datku tego przyjąć nie mogę... Odchodzę jednak spokojny, bo pomimo wszystkiego wyście dziś już inni, bo pomimo waszej wiedzy wyście dziś już ludźmi.

Scena VII.

Ci sami, ARTUR wbiega furtką, WIEŚNIACY ustępują się z uszanowaniem.

ARTUR.

Więc Anna prawdę mi powiedziała!... Ależ ludzie, wasze postępowanie jest niegodziwe. Nie macie nawet do tego prawa i na coś podobnego nigdy nie pozwolę! (do Jazowskiego) Oto owoce pańskiej pracy, pańskiego poświęcenia. Masz pan najlepszy dowód, iż wszystko jest tylko teoryą, mrzonką! (do ludzi) Do domów się rozejść!...

WÓJT (kłaniając się).

My tu proszę wielmożnego dziedzica w naszym prawie.

ARTUR.

Cóż to... Niesłuchacie!...

JAZOWSKI.

Ludzie, proszę was, a jest to może moja ostatnia prośba, rozejdźcie się. Powiedziałem przecież, że woli waszej usłucham... Odejdę, porzucę was, to miejsce jakby mi rodzinne, ten mój domek, porzucę wszystko, by iść dalej a dalej za jedynym celem mego życia. Bo choć stary już jestem w pracy mej nie ustanę. Ludzie wyście w błędzie! (wskazuje na Artura) Tylko ręka w rękę z takim człowiekiem, tylko razem wspólnemi siłami możecie dojść do tego, czego sami bezwiednie pragniecie. Jesteście dziś biedni, cóż was wzbogaci. Wyście dziś głodni... któż was nakarmi... któż wami pokieruje w chwili stanowczej Za nim i z nim idźcie i nie zapominajcie, żeśmy wszyscy dziećmi jednej ziemi, jednej matki... żeśmy wszyscy karmieni jej mlekiem, że pierś jej biedna rozdarta, żeśmny powinni te rany goić... a nie jak wyrodki kaleczyć i jątrzyć niezgodą... Wy nam nie ufacie, a jednak ja w tę waszą nieufność nie wierzę.., Wyście już na drodze odrodzenia... Chcąc czy nie chcąc, wyście już weszli na szlaki, które was zawiodą tam, zkąd was nie zepchnie już żadna siła, bo staniecie obok wskrzeszonej naszej świętej wspólnej... ziemi ojczystej! Żegnam was!... Idźcie a Bóg niech czuwa nad wami!...

WÓJT (zakłopotany).

My bo panie nie myśleli to tak zaraz. Ot, może to i nie prawda co mówią... bo mi się widzi, że wy! taki nasz!...

1. GOSPODARZ.

Chodźmy... Naradzimy się jeszcze.

WÓJT.

Panie, Bóg z wami. Myśmy ponoś źle radzili (do ludzi) Chodźmy!... (wieśniacy wychodzą zakłopotani).

ARTUR (patrząc na rozchodzących się).

Ja tych ludzi nierozumiem!

JAZOWSKI (znużony).

Dla tego też i oni nas nierozumieją. Lecz panie bądź dla nich takim jak dotychczas, lepszym nawet, bo na moje miejsce...

ARTUR (przerywając).

Nie myślisz pan przecież na seryo nas opuszczać... oni się cofną.

JAZOWSKI.

Wątpię... Pomówimy jednak o tem (patrzy na Leonię stojącą nieruchomie) Leonio... co tobie?

LEONIA (jakby ze snu).

Ojciec mnie woła?... A... pan hrabia?...

ARTUR.

Pani zbyt wzruszona tą sceną...

JAZOWSKI.

Dziecko, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca... Bóg czuwa nad nami... Idź spocznij...

LEONIA.

Ojcze wolę tu pozostać... Lecz tobie potrzeba spoczynku..

ARTUR.

Rzeczywiście... wejdź pan do pokoju... Na mnie proszę nie zważać... odchodzę...

JAZOWSKI.

Posłucham więc rady, i żegnam...

ARTUR (podając mu rękę).

Do widzenia...

LEONIA (odprowadzając ojca).

Za chwilę powrócę!...

ARTUR (sam patrząc za nią).

Co za dziwna istota... To dziecko gór na pół okrzesane a takie urocze... a tak pociąga!... (przechadza się) Czy też ona kocha Karola?... Nie... nie... nie... i tysiąc razy nie!... Prędzej bym uwierzył... iż w tej chwili noc.. jak żeby dziewcze to mogło pokochać człowieka jak on!.. (Tu po pod sztachety przechodzi powoli Karol, spostrzega Artura i odchodzi). Chyba w takim razie niebo porozumiałoby się nareszcie z ziemią (zamyśla się).

LEONIA (wchodząc).

Pan zamyślony...

ARTUR.

Chciałbym rozwiązać jedno zadanie, lecz silę się nadaremnie...

LEONIA.

Już je rozwiązałam.

ARTUR.

Jakto mam rozumieć?... Nie możesz pani przecież wiedzieć co miałem na myśli.

LEONIA (siadając).

My dzieci gór i swobody... my, których względy świata nie krępują... jesteśmy podobni do tych kwiatków polnych, które choć niebo nad niemi jasne i pogodne, tulą się biedne przeczuwając burzę...

ARTUR.

Słowa pani są mi co raz niezrozumialsze.

LEONIA.

Usiądź pan... Opowiem bajeczkę... Na zielonej łące, w pośród mnóstwa kwiatów wyrósł raz zupełnie inny, kształtem i kolorem braciom swym całkiem nieznany. Lecz, że był cichy, skromny i łagodny, przyzwyczajono się wkrótce do niego, a nawet pozyskał i miłość i ufność swych braci... Rósł obok skromny bławatek a tak był blisko naszego kwiatka, iż go swym listkiem i muskał i pieścił, przed deszczem okrywał, a bracia sobie szeptali, że się kwiatki... pokochały... I cicho było na łące, a tylko mały strumyczek, szemrał coś tajemniczo. Aż naraz, wśród ciszy w powietrzu, pogody na niebie i trawki i kwiaty zaczęły swe główki przechylać i szumem swym przygłuszyły szmer strumyka. Tem on zdziwiony, wystąpił ze swego łożyska i dalej że sunie po łące aż bystrym prądem swych fali... zalał kwiatków tysiące!... I czegoż się strumyk dowiedział stąpając po trupach trawek... Niczego... bo gdy je zabił, zamilkły na wieki...

ARTUR.

Pani... ja cię rozumiem... a to co usłyszałem... przyspiesza tylko...

LEONIA (przerywa).

Cóż ma przyspieszyć?... Panie hrabio spojrzyj ku tym górom. Nawet gorące promienie słońca, nie zdołają stopić tych odwiecznych śniegów!...

ARTUR.

A jednak, jedno tchnienie kochającego serca, jest w stanie wszystko skruszyć! Posłuchaj mnie pani. Na pierwsze wejrzenie, poznałem w tobie istotę wyższą. Pani nie możesz... nie powinnaś Karola...

LEONIA (wstając).

Nie powinnam... A, więc muszę mówić otwarcie... Panie... ludzie mówią... Panie... Pan nie powinieneś tu więcej przychodzić!

ARTUR.

Na Boga... coś pani wyrzekła!

LEONIA (szybko).

Ten człowiek, który jest gotów dla mnie wszystko poświęcić... a którego muszę zostać żoną... Panie... ten człowiek... ja go kocham!... (wybiega do domu).

ARTUR (sam).

Ona go kocha!... (zamyśla się).

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

Scena przedstawia wielki pokój umeblowany w stylu staroświeckim. Po lewej stronie jedne drzwi — po prawej podwoje przysłonięte kotarami. Wprost wielkie gotyckie okno otwarte i widok na ogród oświetlony księżycem. Po lewej stronie stół, parę krzeseł i fotel. Na stole jedna świeca.

Scena I.

ARTUR, OKTAW. (Artur leży w fotelu).

OKTAW (stoi koło niego).

Arturze posłuchaj mnie i idź do swojego pokoju.

ARTUR (niecierpliwie).

Czy się dziś uwziąłeś na mnie... Obierz sobie co innego za przedmiot twej troskliwości...

OKTAW.

Jesteś niesprawiedliwy — (po chwili patrząc nań). Arturze... do czego to wszystko doprowadzi?... Milczysz... Ciebie tu nie zatrzymuje chora ciotka.

ARTUR.

A... przecież raz... Było mi to od razu powiedzieć. Chociaż... przerachowałeś się tym razem... Ciotka zachorowała... a że prócz słabej Emmy nie ma tu żadnej kobiety, która by nad nią czuwała... uprosiłem więc córkę Jazowskiego i ona się poświęciła... pomimo doznanej prawie pogardy ze strony hrabiny. Z tąd wnioski... sięgające zaprawdę aż...

OKTAW.

W sam rdzeń prawdy...

ARTUR (wstając).

Nie... głupoty ludzkiej.

OKTAW.

Arturze!

ARTUR.

Daruj... uniosłem się. Lecz pocóż mnie drażnisz, po co te posądzenia... Wiesz przecie... że pojutrze Leonia wyjdzie za mąż.

OKTAW.

I właśnie dla tego, że wiem o tem, proszę cię i zaklinam odejdź z tąd...

ARTUR.

Dla czego miałbym odchodzić... Lada chwila mogą potrzebować mojej pomocy.

OKTAW.

Więc zostanę tu i będę czuwał...

ARTUR.

Ty... to nie możebne. Jesteś obcym... Nie... Emma...

OKTAW.

Emma?...

ARTUR.

Naturalnie... Emma potrzebuje swobody. Może i w tej chwili słysząc twój głos nieubrana, boi się tu wejść, a pragnie chwili spoczynku...

OKTAW.

Być może... Lecz za nim odejdę odpowiedz mi na jedno pytanie...

ARTUR (nadsłuchując).

Cóż?

OKTAW.

Dla czego zamiast Leonii nie wezwałeś Annę do czuwania nad ciotką?

ARTUR.

Dla czego?... Nie przyszła mi na myśl...

OKTAW.

Więc to by ci było wszystko jedno?

ARTUR.

Naturalnie...

OKTAW.

Kiedy więc tak, a córka nauczyciela kilkudniowem czuwaniem zapewne zbyt zmęczona, pozwolisz, że przyszlę tu Annę a Leonię potrzeba odesłać do domu.

ARTUR.

Jakto, teraz, w nocy?...

OKTAW.

Jeszcze nie jest tak późno...

ARTUR (nadsłuchując).

Będzie dość czasu jutro o tem pomyśleć!...

OKTAW.

Jutro może będzie za późno...

ARTUR (patrząc nań).

Jakto rozumiesz... Z ciebie przemawia chyba zazdrość!

OKTAW.

Nie, tylko sumienie o którem ty zaczynasz zapominać. Człowieku pomyśl gdzie cię ta szalona miłość doprowadzi... Zabijesz Emmę... a czy na jej miejscu stanie obok ciebie Leonia u ołtarza?...

Z drukarni narodowej W. Znanieckiego.